

Konrad Turzyński

Czy prawda zawsze leży pośrodku?



nr 2(26), luty 2004 r.

<http://www.opcjanaprawo.pl/index.php/component/k2/item/2956-czy-prawda-zawsze-lezy-po-srodku?>

Często słyszymy, albo sami wypowiadamy, odpowiedź twierdzącą na to pytanie. Dzieje się tak szczególnie wtedy, gdy na jakiś temat słyhać sprzeczne opinie, a trudno dowiedzieć się (lub trudno powiedzieć głośno...), jak jest naprawdę.

A czy tak rzeczywiście jest? Wiele lat temu słyszałem prelekcję słynnego Stefana Kisielewskiego “Kisiela”), a w niej anegdotę o pewnym posiedzeniu rządu **Polski “Ludowej”** w latach **stalinowskich**. Jeden z ministrów zachwycał się osiąganymi wynikami gospodarczymi, w czym dopomagały mu dane statystyczne, a wśród nich rozmaite “średnie”. Na to zareagował inny uczestnik tego posiedzenia – mniej więcej następującymi słowami: *“jeżeli wy, **towarzyszu ministrze**, zdradzacie żonę cztery razy w tygodniu, a ja nigdy, to znaczy, że średnio cudzołożymy dwa razy na tydzień, ale co ja mam z tego za przyjemność, doprawdy nie wiem”*. Wybuch śmiechu po tej anegdocie pokazał, że nie tylko ów dawny dygnitarz, ale również słuchacze prelekcji “Kisiela” dobrze rozumieli, iż prawda nie zawsze leży pośrodku.

Po latach, kiedy **socjalizm** (w tzw. międzyczasie mianowany “**socjalizmem realnym**”) został ogłoszony w całości jako “miniony okres”, przysłowiowa “prawda leżąca pośrodku” ukazała się w postaci lansowania mody na mówienie, że “wszyscy byliśmy umoczeni”. Dopóki słowa “**lewica**” i “**socjalizm**” powszechnie kojarzyły się mało korzystnie (ok. 1990 roku), dobrym sposobem na **kryptoreklamę lewicy było udawanie, że podział na lewicę i prawicę jest nieaktualny**, że to są pojęcia historyczne, które pora już zastąpić innymi.

Bardzo dogodnym chwytem było pakowanie do jednego worka “Solidarności 80” kierowanej przez Mariana Jurczyka i OPZZ kierowanego przez Alfreda Miodowicza – w ten sposób związkowi Jurczyka przypinano etykietkę “populizmu” i zarazem tęsknoty za **PRL**, za “**komuną**”. Zarazem celująca w tej metodzie socjotechniki “**Gazeta Wyborcza**” umiała w nekrologu postaci, ponuro zapisanej w historii Polski pod dyktaturą Bieruta (chorążego /**bezpieki**/ Krystyny Poznańskiej-Gebert, organizatorki **Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego** w Rzeszowie), dodać: “*zawsze wierna **idealom lewicy społecznej***”, co pośrednio oznacza **akceptację lewicowości** (której

– tak jak i prawicy – **jakoby** już nie ma!), a także jakąś formę **tęsknoty za “komuną”**. Jak widać, prawo do tęsknienia za **komuną** zależy od tego, o która ekipę na czele PRL chodzi w danym wypadku? (A może: od tego, kto tęskni? A może... to na jedno wychodzi?)

Szef tej gazety, Adam Michnik, to człowiek, który w latach siedemdziesiątych wylansował nazwę “lewica laicka” – chyba specjalnie po to, aby objąć nią wszystkich, którzy o udział w **komuniźmie** się “otarli”, ale (jak np. on sam) przestali być członkami **PZPR**, i zasygnalizować tym samym jakiś wspólną platformę ideową nadającą się do przyjęcia zarówno przez aktualnych jak też przez byłych członków **kompartii**. Gdy nadeszły “nowe czasy”, tenże polityk w dyskusjach telewizyjnych usiłował dystansować się od tego swojego pomysłu (wtedy jeszcze nie zdążyła powrócić “moda” na afiszowanie się lewicowością i socjalizmem), bowiem nazwę “lewica laicka” obracał w żart dopowiadając “**prawica muzułmańska**”. (Jest to taki sam chwyt jak inny, również ulubiony przez tego publicystę, a polegający na tym, że mówienie o Żydach i **masonach** obraca się w żart dodając trzecią kategorię: “cyklistów”, którzy przecież nijak mają się do narodu żydowskiego, i któregośkolwiek innego, jak też do **sekt masonowskiej**, lub jakiej bądź innej sekty.) Wiadomo, że próżno by szukać w Polsce **prawicy muzułmańskiej**. (Chociaż złośliwości pod adresem katolików, mające deprecjonować ich porównaniem do “**fundamentalistów**” **islamskich**, zdarzały się ze strony **lewicy “laickiej”** – i wszelkiej innej – niejednokrotnie, dawniej i mniej dawno...) Ale kiedy bojownicy “jasnogrodu” już nie umieli (albo nie chcieli) ukrywać, o którego przeciwnika im naprawdę chodzi, nie wzdragali się używać ani rzeczownika “prawica”, ani dodawanych doń przymiotników: “narodowa” albo “katolicka”.

Najbardziej formuła “wszyscy byliśmy umoczeni” przydawała się, ilekroć powracał temat lustracji i dekomunizacji. Tu wyżej wspomniany dziennik współzawodniczył z “**dziennikiem cotygodniowym**” pod wiadomym tytułem. Gawęł donosił i może przyczynił się do cierpień albo przedwczesnych zgonów swoich bliźnich, a Paweł tylko należał do reżymowych związków zawodowych (przed 1980 r.), chadzał na “wybory” i na pochody pierwszomajowe, ale przecież **obaj** byli “umoczeni” w **komunizm**. Zasada “prawdy pośrodku” jest przywoływana właściwie po to, aby nieustannie dawać szansę samousprawiedliwiania się tym, których “umoczenie” w komunizm sięgało ponadprzeciętnie głęboko: “**musiałem**” należeć do **partii**, bo na tym stanowisku nie można było inaczej; “**nie mogłem**” uniknąć regularnych rozmów z **tajniakami**, bo przecież piastowałem stanowisko kierownicze; “**musiałem**” udawać, że moja rodzina i zwłaszcza ja jesteśmy ateistami, bo w moim zawodzie – **wojskowego** albo **milicjanta** (który to zawód sobie przecież wybrałem!) inaczej nie awansowałbym. (Jeżeli to był **funkcjonariusz SB**, to zostałby natychmiastowo wydalony ze służby – tak bywało tam po jednorazowym wpuszczeniu do mieszkania księdza z “kołędą” albo dwójki świadków Jehowy, apostołujących na rzecz swojego wyznania!). I tak dalej...

Okazuje się mianowicie, że pogląd o prawdzie leżącej “pośrodku” jest tak naprawdę wymówką, ucieczką od zajęcia zdecydowanego stanowiska. Stosowany jest wtedy, kiedy rozmowa zmierza – mówiąc krótko – ku **wartościom spornym**. Kiedy trzeba opowiedzieć się po stronie jakiegoś niezbyt łatwego wymagania moralnego, albo po stronie przeciwnej, albo “neutralnej”, ale w każdym razie nie po stronie tego wymagania ani po stronie czegoś, z czego ono mogłoby wynikać. Czasem takie wymaganie dotyczy właśnie bezpośrednio stosunku do prawdy: czy mamy jej bronić nawet za cenę jakiegoś osobistego ryzyka? W XVI wieku kościoły protestanckie – a w XVII wieku także Kościół Katolicki – zaczęły zwalczać pogląd “hipotezę”, jak ją nazywał ostrożnie sam jej autor) ks. kanonika Mikołaja Kopernika, że to Ziemia krąży wokół Słońca, a nie na odwrót. Traktując to zagadnienie całkiem serio i dosłownie: późniejszy rozwój nauki pokazał, że tym razem rzeczywiście prawda leży “gdzieś pomiędzy” tym, co głosił Kopernik, a tym, co przed nim powszechnie uznawano za prawdę – w ślad za Ptolemeuszem i za powszednim świadectwem naszych zmysłów: i Słońce i inne obiekty w Układzie Słonecznym krążą wokół punktu, który jest – jak to nazywają fizycy – “wspólnym środkiem masy”. Jednakże ten punkt znajduje się stosunkowo bardzo blisko Słońca... Z powodu jednego niepozornego miejsca w “**Biblii**” (“**Księga Jozuego**”, rozdz. 10, w. 12-13) władze różnych kościołów chrześcijańskich były gotowe potępić

zwolenników poglądu Kopernika. Wówczas “fanatyczna” wierność prawdzie (astronomicznej) mogła rzeczywiście dużo kosztować...

W naszych czasach i w naszej “zachodniej cywilizacji” ryzyko, na które wystawia się człowiek w zakresie swojego stosunku do prawdy, jest zwykle nieduże. (Pomijam patologiczne przypadki takie jak np. sytuację świadka w postępowaniu karnym, który może mieć powody obawiać się zemsty przestępcy za zeznanie prawdy dla niego, tego przestępcy, niekorzystnej...)

Może być ktoś wyznający “kreacjonizm”, czyli tezę, iż “*Biblię*” należy traktować dosłownie także w tym, co dotyczy stworzenia świata. Poglądem zdecydowanie dzisiaj przeważającym wśród biologów jest to, co znamy pod nazwą “teoria ewolucji”. Ktoś, kto wybiera kreacjonizm, a odrzuca teorię ewolucji, naraża się zwykle tylko na drwiny. Ale także to może być przyczyną do ucieczki w pogląd o prawdzie leżącej może nie dokładnie “pośrodku”, lecz gdzieś “pomiędzy” – Mojżeszem a Darwinem. (*Nota bene*, oficjalne stanowisko Kościoła Katolickiego, od 1950 r., tj. od czasu encykliki “*Humani generis*” papieża Piusa XII, nosi cechy takiej właśnie “prawdy pośredniej”...)

Weźmy inny przykład: konflikt w małżeństwie, albo szerzej – w rodzinie. Zwykle towarzyszą temu wzajemne zarzuty i pretensje. Część z nich wypowiada jedna strona, resztę – strona przeciwna. Człowiek z zewnątrz może naprawdę nie wiedzieć, komu i w czym może wierzyć. I łatwo znajduje wytłumaczenie (które jednak **może** być zgodne z prawdą!) typu: “oboje mają rację”, “każda strona jest współwinna”, “nie ma dymu bez ognia”. I to nawet nie musi być związane z lenistwem umysłowym tego kogoś spoza sporu, ani z jego wygodnictwem, asekuranctwem, niechęcią zrażenia do siebie którejkolwiek ze stron konfliktu. Przecież poznanie “całej prawdy i tylko prawdy” bywa często w takich sytuacjach zwyczajnie niemożliwe. Pomnożmy teraz tę sytuację przez odpowiednio duży współczynnik, a dostaniemy obraz konfliktów między partiami, pomiędzy związkami wyznaniowymi, między narodowościami albo państwami.

Nie zawsze uznawanie prawdy za leżącą “pośrodku” jest czymś moralnie nagannym. Ale... właśnie w naszych “ponowoczesnych” czasach **skłonność** ku takiemu rozwiązaniu jest czymś natrętnym i na pewno niedobrym. Od przekonania, że w danym przypadku prawda może być praktycznie niepoznawalna dość łatwo ześlizgnąć się do przekonania, iż tak właśnie jest w **każdym** przypadku i z **zasady**. Prawda, o ile nawet istnieje, ma to do siebie, że jak gdyby jej nie było. Bo nie da się ustalić niezawodnie, jaka ona jest (co jest jej treścią), a w takim razie nie ma sensu kierować się prawdą. Artysta proponuje mi swoje dzieło nie dlatego, że ono ma jakąś istotną wartość (estetyczną albo ideową), ale dlatego, że to służy zaspokojeniu jego próżności. “Każda sroczka swój ogonek chwali” mówi przysłowie pokrewne temu o prawdzie pośrodku.

Komunikat, który do mnie dociera, niekoniecznie został nadany dlatego, że jest prawdziwy, ale dlatego, że KOMUŚ jego nadanie ma przynieść korzyść: duchowny dlatego straszy mnie karami w życiu pozagrobowym, bo dzięki temu będę gorliwszym wyznawcą tej samej religii i bardziej regularnie będę dawał datki na utrzymanie tego duchownego; polityk, namawiający mnie, ażebym na niego głosował, chce po prostu wygrać wybory i żyć na koszt budżetu; producent po to zamawia i opłaca reklamy swojego piwa, abym ja dał zarobić jemu, a nie konkurencyjnym browarnikom.

Owszem, w dziedzinie handlu (ale też nie pod każdym możliwym względem!) jest miejsce na “prawdę pośrodku”! Kiedy ktoś targuje się z kimś innym o cenę, to zazwyczaj dochodzą do uzgodnienia przy pewnym poziomie ceny, leżącym gdzieś pomiędzy stanowiskami wyjściowymi obu stron. I to jest ta rzeczywista cena za dane dobro materialne. Ale już między “dałem łapówkę” a “nie dałem łapówki” nie ma niczego pośredniego! To samo dotyczy “wzięcia łapówki” – ma się rozumieć...

Kiedy przed Poncjuszem Piłatem stanął oskarżony Jezus z Nazaretu, powołujący się na swoje posłannictwo (“*dać świadectwo prawdzie*”), rzymski namiestnik zadał pamiętne pytanie: “*cóż to jest prawda?*” (“*Ewangelia wg św. Jana*”, rozdz. 18, w. 3738). Św. Paweł w “*Liście do Tytusa*” (rozdz. 1, w. 12) uczynił aluzję do pewnego Kreteńczyka Epimenidesa (filozofa i poety z VI wieku p.n.e.) – jako “bohatera” anegdoty Eubulidesa z Miletu (greckiego filozofa z IV wieku p.n.e.). W

myśl tej anegdoty Epimenides mówił, że wszyscy Kreteńczycy to kłamcy. Należy to rozumieć tak, że Kreteńczycy ZAWSZE kłamią, ale naprawdę chodzi o kłamliwość tej właśnie wypowiedzi Epimenidesa, Kreteńczyka przecież.

Prościej można by to wyrazić tak oto: “niniejsze zdanie jest fałszywe”. Jeśli to zdanie w cudzysłowie jest prawdziwe, to zgodnie z jego treścią jest właśnie... fałszywe. I na odwrót – jeśli ono jest fałszywe, to zgodnie z jego treścią jest właśnie... prawdziwe. Jak więc to jest: czy zdanie “niniejsze zdanie jest fałszywe” jest prawdziwe, czy fałszywe? Tę anegdotę i zawartą w niej zagadkę nazwano “paradoksem kłamcy”. Przez dwadzieścia kilka stuleci nikt nie umiał go rozwiązać, co tylko przydawało mu sławy. Dopiero w XX wieku znaleziono pierwszą sensowną odpowiedź na ten problem – zakaz formułowania zdań stwierdzających cokolwiek o samych sobie (nawiasem pisząc, wymyślił to Polak, Stanisław Leśniewski). Najważniejsze jednak – z punktu widzenia, o który tutaj chodzi – jest to, że paradoks kłamcy **zacieriał różnicę między prawdą a fałszem**.

W tradycji tzw. “judeochrześcijańskiej” staranne odróżnianie prawdy i fałszu jest czymś zwykłym, oczywistym. Już w Starym Testamencie (por. np.: “*Księgę Przysłów*”, rozdz. 12, w. 17 i 19 oraz rozdz. 14, w. 5 i 25, albo także “*Księgę Mądrości Syracha*”, rozdz. 34, w. 4b) właśnie w takim duchu przeciwstawiano kłamstwo – prawdomówstwu. Pierwsza z wymienionych tu ksiąg starotestamentowych powstała w V, ale druga – w II wieku p.n.e., a więc podczas pozostawania Izraela w zasięgu oddziaływania kultury helleńskiej, toteż mógł odcisnąć się na niej wpływ grecki, a nawet – wpływ arystotelizmu; imperium “hellenistyczne” zostało przecież założone przez króla macedońskiego, Aleksandra III Wielkiego, którego nauczycielem był właśnie Arystoteles. Czy rzeczywiście wspomniane fragmenty “*Księgi Mądrości Syracha*” są śladami takiego wpływu, to jednak zagadnienie do ewentualnego rozstrzygnięcia przez historyków idei. Odnośne fragmenty obydwu tych ksiąg starotestamentowych wyrażają tę samą treść, chociaż nie są identyczne pomiędzy sobą. Możemy zatem nie bez racji przypuszczać, że “*Księga Przysłów*” zawiera wysłownienie klasycznej koncepcji stosunku między prawdą a fałszem niezależne od ewentualnego wpływu Arystotelesa. Nowy Testament tylko wzmacnia ten punkt widzenia – por.: “*Ewangelie według św. Mateusza*”, rozdz. 5, w. 37; “*Drugi list św. Pawła Apostoła do Koryntian*”, rozdz. 1, w. 1720.

Tymczasem w starożytnej Grecji już w VI wieku p.n.e. żyli dwaj myśliciele – Heraklit z Efezu i Anaksagoras z Kladzomen. Mówiąc swobodnie, pierwszy z nich głosił, że coś może być ZARÓWNO prawdziwe, JAK TEŻ fałszywe, zaś drugi dopuszczał, aby nie było ANI prawdziwe, ANI fałszywe. Pierwszy z tych pomysłów można spotkać w starożytnych pismach chińskich taoistów, a drugi u hinduskich buddystów. Koncepcje lansowane przez Heraklita, Anaksagorasa, jak również pierwotny taoizm i pierwotny buddyzm – to wszystko przykłady światopoglądów **materialistycznych**. (Mylące jest uznawanie buddyzmu i taoizmu za religie w “zachodnim” rozumieniu tego słowa – pojęcie Boga jako osobowego Bytu, istotnie różnego od wszystkich pozostałych bytów, do dzisiaj jest na gruncie buddyzmu i taoizmu nieznanne.)

Trudno nawet ustalić, kto kogo naśladował w dziedzinie stosunku do prawdy i fałszu: Grecy od Azjatów czy odwrotnie. Według pewnych przypuszczeń bowiem inicjatorzy buddyzmu i taoizmu żyli również w VI wieku p.n.e. W każdym razie w Grecji, będącej jednym z trzech (obok Izraela i Rzymu) starożytnych źródeł naszego euroatlantyckiego kręgu kulturowego, na długie wieki przeważyły nie idee właściwe taoizmowi i myśli Heraklita, ani też idee typowe dla buddyzmu i dorobku Anaksagorasa, lecz to, co wiążemy z Arystotelesem.

W znanej od wielu lat książce “*O sztuce miłości*” znany psycholog Erich Fromm zwrócił uwagę na ten aspekt różnicy między myślą Zachodu i Wschodu – między logiką między logiką arystotelesowską a logiką “paradoksalną” – tym terminem Fromm objął zarówno to, co właściwe Anaksagorasowi (= “*negatywne sformułowanie logiki paradoksalnej*”), jak też to, co typowe dla Heraklita (= “*pozytywne sformułowanie logiki paradoksalnej*”). Deklarując się wyraźnie jako niewierzący, Fromm – który był najpierw niemieckim, a potem amerykańskim Żydem – tak

zinterpretował odnośny fragment “*Biblii*” (w którym Bóg z imienia przedstawił się Mojżeszowi – “*Księga Wyjścia*”, rozdz. 3, w. 1314) jako uzasadnienie dla “teologii negatywnej” (w myśl której nie jest celowym orzekać czegokolwiek o Bogu). Zdawał się przy tym sprzyjać i temu, i “logice paradoksalnej”.

Jego zdaniem przewaga Wschodu nad Zachodem polega na tym, że kultury ukształtowane w duchu logiki paradoksalnej są “tolerancyjne”, bo nie wymagają od ludzi koniecznie określonej “prawidłowej”, “słusznej” wiary – różne punkty widzenia nie współzawodniczą ze sobą, ale wzajemnie się uzupełniają (streszcza to skrót myślowy zaczerpnięty z Sokratesowego aforyzmu: “*wiem, że nic nie wiem*”). Ważniejsze od “dobrego wierzenia” jest “dobre działanie”, a najcenniejsza jest kontemplacja i przekształcanie samego siebie. W przeciwieństwie do tego Zachód, któremu patronuje Arystoteles, zawsze bardziej akcentował słusność poglądów, dogmatyzm, naukę; kwintesencją tego wszystkiego – według Fromma – mają być: Kościół Katolicki i odkrycie energii atomowej.

Owe dwa zapomniane źródła “paradoksalnego” widzenia świata zostały reaktywowane w epoce nowożytnej. Do Heraklita nawiązał niemiecki filozof, Georg Wilhelm Friedrich Hegel, tworząc **dialektykę**; do Anaksagorasa, w kilka dziesięcioleci później, holenderski matematyk Luitzen Egbertus Jan Brouwer formułując koncepcję nazwaną przezeń **intuicjonizmem**. Obydwa te pomysły być może pozostałyby znane jedynie zajmującym się nimi specjalistom, gdyby nie to, że pomysł Hegla wszedł później w skład **ideologii komunistycznej** i dzięki jej sile nośnej został ponad wszelką miarę rozpowszechniony. Niewykluczone, że skłonność Fromma ku logice paradoksalnej wynikała także z tego, że (jako uczestnik tzw. Szkoły Frankfurckiej) był on adeptem pewnej odmiany marksizmu... Interesującym wyjątkiem jest wspomniany Leśniewski: chociaż w tym okresie (II dekada XX wieku) bardzo mocno ulegał urokowi **marksizmu**, skłaniał się jednak ku “paradoksalności” na modłę Anaksagorasa i Brouwera, a nie – Heraklita i Hegla.

Sam Hegel zaś wsławił się wręcz anegdotycznie niefrasobliwym stosunkiem do prawdy. Myśliciel (jak wolno przypuszczać) hołdował przesądowi głoszącemu, że istnieje siedem planet – zakorzenionemu chyba w takich dziedzinach magii jak np. “astrologia” lub “numerologia”, a pochodzącemu jeszcze z czasów, gdy w astronomii powszechnie uznawano hipotezę geocentryczną (do planet nie zaliczano Ziemi, natomiast zaliczano... Słońce i Księżyc: tak więc w skład owej siódemki wchodziły następujące obiekty kosmiczne, nazywane “planetami”: Słońce, Księżyc, Merkury, Wenus, Mars, Jowisz i Saturn; pod wpływem Kopernika Słońce wykluczono z tego zbioru, a za to wpisano doń Ziemię; natomiast odkryty o dwadzieścia lat wcześniej Uran ostatecznie zastąpił Księżyc w tej siódemce). Mianowicie w wykładzie inauguracyjnym rok akademicki 1801/1802 Hegel przedstawił astronomom swój dowód na to, że między orbitami Marsa i Jowisza nie może znajdować się orbita obiektu krążącego wokół Słońca. Jego “dowód” miał tę wadę, iż jego teza była znana jako... fałszywa już od kilku miesięcy: w pierwszym dniu XIX wieku odkryto momencie dowodzenia, pierwszą planetoidę (Ceres) właśnie w tej okolicy Układu Słonecznego. Na wieść o tym odkryciu Hegel miał powiedzieć, że skoro fakty przeczą teorii, to... tym gorzej dla faktów. Istotnie – **dokładnie wbrew klasycznemu rozumieniu prawdy (temu według Arystotelesa i św. Tomasza)**. Proste, prawda? Nawiasem pisząc – Hegel usytuował się w ten sposób po stronie tych, którzy – nadużywając autorytetu “*Biblii*” i Arystotelesa – uznawali przeciwny pogląd za “herezję” (co bynajmniej nie ułatwiało [!] życia marksistom, traktującym Hegla jako jednego ze swoich “patronów”, lecz zwalczali i chrześcijaństwo, i myśl arystotelejską).

Żyjemy w czasach, kiedy także epokę nowożytną próbuje się traktować jako już zamkniętą. Chrześcijaństwo jakoby się skończyło – stąd wymyślono “postchrześcijaństwo”. Komunizm też jakoby się skończył – stąd (ym razem chyba: dla zmylenia przeciwnika) “postkomunizm”. Epoka przemysłu (nie tylko pary i elektryczności, ale także – energii jądrowej) też jakoby minęła, jesteśmy podobno społeczeństwem coraz bardziej “postindustrialnym”. Słowem, jak usiłuje nas przekonać Francis Fukuyama, “historia się skończyła”. Już niby to nic ciekawego na świecie się nie zdarzy. (Ci, którzy sto lat temu to samo mówili o samej tylko fizyce, a nie o całości ludzkich poczynań, zaledwie po KILKU latach, za sprawą Maxa Plancka i Alberta Einsteina, przekonali się, jak bardzo

się mylili: Planck zainicjował mechanikę kwantową, zaś Einstein teorię względności – dwie wielkie rewolucje w tej dziedzinie wiedzy...) Nowoczesność też się wyczerpała, dlatego pora na “późnowoczesność” czyli na “postmodernizm”. Jest to coś, czym bardziej się zachłystują ludzie uchodzący (albo pragnący uchodzić) za artystów, niż np. filozofowie. A jeśli już ci ostatni, to raczej tacy, którzy poczuli się “wdowami i sierotami po” **marksizmie**.

Postmodernizm rzeczywiście czymś różni się od wszystkiego przed nim: Piłatowe pytanie traktuje jako nieważne, a przynajmniej nieinteresujące. Dla prawdziwego postmodernisty pytanie o prawdę jest pytaniem, którego nawet **nie warto** stawiać! Prawda zostaje zredukowana do czegoś takiego umownego jak piękno, a o piękno od lat jesteśmy nauczeni nie spierać się: “o upodobaniach nie należy dyskutować”, jak “już starożytni Rzymianie” lubili mawiać... Jednemu podoba się techno, drugiemu muzyka Mozarta i wara jednemu do drugiego (zwłaszcza jednak – odwrotnie...). Podobnie każdy ma “swoją prawdę”. Na dobrą sprawę bandyta swoją, ofiara swoją, prokurator swoją, adwokat też swoją, a sędzia oczywiście również. Dziennikarz, który nam te wszystkie “prawdy” rzetelnie relacjonuje, pozostawiając nam całkowitą swobodę wyboru co do tego, w którą z nich mielibyśmy uwierzyć, może być podobnie szkodliwy, jak dziennikarz stronnicy, co to jedną informację uprzywilejowuje, a inną upośledza. W sumie nieważne, czy przestępstwo, o które toczy się proces, spowodowało lawinę przemocy na styku różnych ras, ani czy wyrok kończący proces uruchomi lawinę następną.

Znane spory o legalizację aborcji i eutanazji nieraz wzbudzają (w Polsce i innych krajach) wypowiedzi przestrzegające przed rozstrzygnięciem tych sporów za pomocą referendum, bowiem – zdaniem autorów tych wypowiedzi – nie godzi się “głosować piątego przykazania”. Jest tu pewne pomieszanie pojęć, bowiem głosowanie w takim wypadku dotyczy nie treści przykazania, ani nie tego, czy czy to Bóg jest autorem przykazań. Głosowanie dotyczy tego, czy chcemy, aby stało się (albo: przestało być) prawdziwe zdanie mówiące, że jeśli ktoś w takiej to a takiej sytuacji naruszy owo przykazanie, to powinien liczyć się z karą wymierzaną na tym świecie przez ludzki sąd. Tylko **skrót myślowym** można “sprawić”, że odnośne referendum byłoby głosowaniem nad treścią przykazania, albo nad tym, czy dana kategoria istot ludzkich to ludzie, czy nie ludzie.

W czasach, kiedy w głosowanie nikt na serio nie wierzył (a “patronujący” całej tej sytuacji Józef Dżugaszwili, ps. “Stalin”, mawiał, że *“nie ważne, jak ludzie głosują, ważne, kto liczy głosy”*), oficjalnie “obowiązywała” marksistowska koncepcja prawdy: prawdą jest to, co służy “rewolucji proletariackiej”, a fałszem to, co jej nie służy. Nikt jednak nie wpadłby na to, by głosowanie było kryterium prawdy. Tymczasem polski pisarz Stanisław Lem w swojej pierwszej, jeszcze hurra-komunistycznej, powieści pt. *“Astronauta”*, powstałej jeszcze za życia Stalina, umieścił interesujący passus: *“O głos poprosił docent Dżugadze z sekcji logików. [...] Nie znając prawdy na pewno, zdani jesteśmy na nasze przypuszczenia i dlatego wszyscy możemy się na ten temat wypowiedzieć. Natomiast [...] nie można rozstrzygnąć głosowaniem, czy dach tego budynku jest ze szkła, czy z metalu. W tym celu należałoby po prostu spytać architekta, który go budował. Chodzi bowiem o pewne fakty wiadome specjalistom i oni muszą się w tej sprawie wypowiedzieć. Wniosek logika przyjęto.”*. Ten cytat stanowił przemyślenie w czasach stalinowskich zupełnie “nieprawomyślny” (z punktu widzenia **lewicy**) koncepcji prawdy – **bliskiej** (choć nie identycznej z nią!) klasycznej definicji prawdy (którą proponowali: najpierw pogański filozof Arystoteles ze Stagiry w IV wieku p.n.e., a w ślad za nim chrześcijański filozof św. Tomasz z Akwinu w XIII wieku n.e., a która po prostu mówi, że prawda jest “zgodnością rzeczy z umysłem”).

Na przykład, gdy chcemy wiedzieć dokładniej, czego zabrania przykazanie “nie zabijaj”, musimy zapytać filologa hebraistę, które z trzech bliskoznacznych słów hebrajskich (*“rasah”*, nie zaś: *“harag”* ani *“hemit”*) zostało tam użyte i co ewentualnie z tego wynika. Podobnie wszystkie inne dziedziny aktywności ludzkiej mają sobie właściwe metody ustalania, co jest, a co nie jest obiektywną prawdą.

Co nie znaczy, że naukowo można poznać WSZYSTKO. Pomijam już tu dziedziny, które tylko

z trudem poddają się rygorom naukowym (sfera wiary religijnej i jej tajemnic). Jednak na przykład nie sposób wydedukować z Sienkiewiczowskiej *“Trylogii”*, ile włosów na głowie miał (fikcyjny) Andrzej Kmicic w chwili wysadzania w powietrze szwedzkiej kolubryny pod Jasną Górą, bo po prostu autor nie opisał tej postaci aż tak dokładnie, byśmy byli w stanie stosownie rozumowanie rzetelnie przeprowadzić. Ba, o postaci historycznej, jaką jest książę polski Mieszko I, nie wiadomo (i nie będzie wiadomo) dokładnie, kiedy się urodził – kronikarze nie zanotowali i przepadło. Owszem, można powiedzieć, że ilość włosów na głowie Kmicica to liczba pomiędzy zerem a milionem, albo że Mieszko urodził się między rokiem dziewięćsetnym a rokiem tysięcznym naszej ery. Coś w rodzaju “prawdy pośrodku”...

Cóż by jednak powiedział zwolennik takiej koncepcji prawdy, gdyby dowiedział się – jako pacjent przed operacją – że anestezjolog z podobnie niedokładnym przybliżeniem będzie dozwalał mu środek znieczulający, narażając tegoż pacjenta albo na cierpienie od skalpela, albo na śmierć od przedawkowania narkozy? Ci, którzy w dziedzinie religijnej mówią, że “każda wiara jest równie dobra”, zdają się kwestię tak istotną, jak to, czy i ewentualnie jakie życie pozagrobowe oczekuje ludzi, pozostawiać rozstrzygnięciom podobnie niefrasobliwym jak nietrzeźwość lub niekompetencja anestezjologa.

Może na przykład co do nieba rację mają wyznawcy islamu, a co do piekła – wyznawcy materializmu? (Taka wizja życia pozagrobowego, w której dla wybranych istnieje wieczna nagroda, natomiast dla pozostałych nie ma wiecznej kary, lecz unicestwienie, jest na serio głoszona przez niektóre religie, np. przez świadków Jehowy...) Może można być troszkę w ciąży, a troszkę nie w ciąży? Może prawda leży pośrodku między tezą o płaskości Ziemi (którą pewni ludzie na serio głoszą do dzisiaj!) a tezą o jej kulistości?

To właśnie zwolennicy legalności **aborcji** usiłują rozmyć granicy między prawną ochroną dziecka a jej brakiem przesunąć na zdarzenie przypominające poród: zabicie dziecka, którego nóżki są już na zewnątrz organizmu matki, ale główka jeszcze nie, ma dzięki tej kazuistycznej sztuczce korzystać z legalnej (w USA) tolerancji – w odróżnieniu od dzieciobójstwa (którym byłaby sytuacja odwrotna).

W obronie urzędującego prezydenta USA przed zarzutem kłamstwa (na temat jego wierności małżeńskiej) usiłowano zmienić definicję “kontaktu seksualnego” – tak, aby inkryminowane czynności znalazły się po pomyślnej dla Clintona stronie granicy, określającej zakres znaczeniowy tej nowo definiowanej nazwy.

Dla ochrony szczególnie cennych towarzyszy **komuniści** długo się starali, ażeby wreszcie dopiąć – zmiany definicji współpracy z **komunistycznymi tajnymi służbami**. Były szpieg albo kontrszpieg, zaprzeczający tej swojej współpracy, może jednego dnia być kłamcą lustracyjnym, a następnego dnia już nie.

Może tu też prawda leży pośrodku? Zdaniem komunistów tak: ktoś, kto powie, że donosił, “ale nie szkodził Kościołowi ani opozycji demokratycznej”, jest w położeniu podobnym do bycia “troszkę w ciąży”. Tak jak wyżej wspomniany Clinton, który w młodości palił, “ale nie zaciągał się” (chodzi o marihuanę). Można było zameldować przez telefon oficerowi prowadzącemu, że obserwowany “obiekt” wypił dwa piwa w piwiarni, a potem wyszedł na ulicę – i w ten sposób (może nieświadomie?) przyczynić się do skrytobójstwa popełnionego na “obiekcie” zaraz potem. Kapuś mógł nawet nie wiedzieć, że obiekt nazywa się np. Stanisław Pyjas i jest działaczem opozycji demokratycznej w środowisku studentów krakowskich.

Jednym ze szczególnie jaskrawych i dość szeroko znanych przykładów gwałtownego, jawnego i zupełnie bezczelnego przedefiniowania pojęć jest przemówienie **ludowego komisarza** (= ministra) spraw zagranicznych **ZSRS**, Wiaczesława Mołotowa (prawdziwe nazwisko: Skriabin) na posiedzeniu **sowieckiego** “parlamentu”, czyli **Rady Najwyższej**, w dniu 31 października 1939 r. Okazało się wtedy, że – inaczej niż dwa i pół miesiąca wcześniej – słuszne już nie są rokowania Sowietów z Francją i Wielką Brytanią na temat sposobów dopomożenia Polsce zagrożonej przez

Niemcy, lecz to właśnie Niemcy są państwem “pokój miłującym”, zaś Wielka Brytania i Francja to imperialistyczni podżegacze wojenni. (Później znowu role się odwróciły, zaś po wspólnym zwycięstwie nad Niemcami Londyn i Paryż na długo umieszczono w gronie stolic światowego imperializmu i militarystyki.)

Dawną ideę **tolerancji** niepostrzeżenie zastępuje **relatywizm**. Tolerancję wymyślono najpierw w dziedzinie religijnej, aby uniknąć prześladowań w imię zasady “czyja władza, tego religia”. Niemniej jednak ludzie korzystający z tolerancji wzajemnej nie przestawali swoich wierzeń uważać za **prawdę**, a odmiennych cudzych – za **błąd**. Tolerancję rozumieli zgodnie jako “**prawo do błędu**” przynajmniej tam, gdzie trudno w sposób oczywisty i bezsporny ustalić, co jest, a co nie jest prawdą, **nie zaś jako całkowite zrównanie prawdy i błędu**, jako **zamazanie granicy** pomiędzy nimi. Po tak radykalnym kroku nie jest już ważne, czy zdradzałem żonę, czy nie, czy zdradzałem ojczyznę, czy nie, czy byłem narkomanem, czy nie byłem, czy dokonałem dzieciobójstwa, czy tylko “zabiegu przerwania ciąży”.

Postmodernizm często współdziała z ideologią **New Age**, gdzie można dostrzec swoisty synkretyzm religijno-światopoglądowy, przypominający ten z Cesarstwa Rzymskiego, kiedy to włączano bóstwa czczone przez różne ludy imperium do wspólnego panteonu. Współczesny synkretyzm odznacza się dobrze widoczną obecnością “nowinek” wywodzących się ze Wschodu – między innymi elementami taoizmu i buddyzmu. Swoisty renesans przeżywają także astrologia i numerologia (wspomniane wyżej w związku z przesądem Hegla) jak też inne formy magii.

Demokracja, przynajmniej od czasów, kiedy czynne prawo wyborcze stało się powszechne i równe dla wszystkich, sprawia, że głos członka Akademii Nauk liczy się tak samo, jak głos analfabety, a głos mordercy odbywającego karę więzienia tak samo, jak głos kogoś, kto z ręki tego mordercy utracił osobę bardzo bliską. Jednak istnieje jakaś selekcja przynajmniej do węższych gremiów decyzyjnych, nie zawsze sprawiedliwa, ale przecież pewne skrajności także wykluczająca...

Postmodernizm chce zaprowadzić demokrację także w języku! Niektórym dziwacom wystarcza, że wykoślawiają ortografię i literanię, a także poczucie dobrego smaku w dziedzinie używania języka. Ale... to, co dzisiaj zapewne wydaje się nierealnym wariactwem, może za czterysta lat będzie uchodziło tak samo, jak dzisiaj – w imię ekumenizmu – uchodzi (wśród katolików!) tytułowanie “biskupami” osób, pełniących funkcje przywódcze w innych kościołach chrześcijańskich, ale nie mogących wylegitymować się nijak “sukcesją apostołską”.

Skoro autor dzieł reprezentujących i artystycznie, i także ideowo raczej ANTYwartości niż wartości, może zostać uhonorowany literacką nagrodą Nobla, skoro **terrorysta** dostaje pokojową nagrodę Nobla, skoro człowiek o ponurej totalitarnej przeszłości (ponurej niekoniecznie tylko w dziedzinie posługiwania się językiem) może być szanowanym profesorem uniwersyteckim i uchodzić (jako ofiara totalitarnego państwa), to prawda rzeczywiście przycupnęła w kąciku, jak gdyby czekała na lepsze dla niej czasy...

Bowiem **prawda niekoniecznie znajduje się pośrodku**. Jeśli jest więcej niż jedna informacja na ten sam temat i te informacje nie są pomiędzy sobą zgodne, to **co najwyżej jedna z nich może być w pełni zgodna z prawdą**. Czasem jednak właśnie jedna z nich jest zgodna z prawdą, jest prawdziwa. Nie jest w takich wypadkach przejawem troski o “obiektywizm” zachowywanie “jednakowych dystansów” do wszystkich tych informacji: do w pełni prawdziwej, do częściowo trafnych i do całkowicie błędnych! **Prawda jest tam, gdzie jest**. I nic nie ma tu do rzeczy, czy znamy ją, czy jesteśmy w stanie ją poznać, ani – czy ona komukolwiek się podoba.